

Byłem w Polsce – 3

28 kwietnia 2018

Te pierwsze dni dla wielu nowo przybyłych są horrorem, który jest tym cięższy, im bardziej są świadomi. I to nie ma nic wspólnego ze standardem domu i troskliwością personelu. Dla starszych ludzi zmiana jest straszna. Może być zabójcza. Pierwsze dni w domu opieki są – w wielu przypadkach – nie mówię, że zawsze – czymś podobnym do pierwszych dni w więzieniu.

Skończyło się na niczym. Na moje pytanie, ile płacę, plutonowy zamknął swój notes i powiedział:

– Nakrzyczałem na pana, to i starczy. Tyle na dziś. Na drugi raz niech pan... itd., itd.

Odjeżdżałem zadowolony, że jakoś się wywinąłem, ale rzeczywiście – rozmowa z policjantem nie była budująca i nie mogłem się uwolnić od myśli, że coś jest nie tak.

Wracam do mamy i jej współmieszkanki. Otóż niektórzy twierdzą (i chyba całkiem słusznie), że nie jest dobrze leżeć samemu, patrzeć w ścianę i myśleć o śmierci. Czyjaś obecność – nawet cicha, nawet bez wzajemnego kontaktu – może łagodzić cierpienia związane z ogromną zmianą, jaką jest opuszczenie własnego domu i zamieszkanie w domu opieki. Domu obcym, pełnym nowości, nowych twarzy i rządzonym twardymi regulacjami. To przejście do zupełnie innego, nieznanego środowiska jest dla starego człowieka szokiem, który przybiera najrozmaitsze formy.

Ci, którzy mogą, krzyczą, płaczą, przeklinają... Ci, którzy nie mogą, wrywają spod siebie pieluchy, słabymi rękami wymazują ściany kałem, zdzierają z siebie piżamy albo wytrącają z rąk opiekunek naczynia, z których są karmieni.

Te pierwsze dni dla wielu nowo przybyłych są horrorem, który

jest tym cięższy, im bardziej są świadomi. I to nie ma nic wspólnego ze standardem domu i troskliwością personelu. Dla starszych ludzi zmiana jest straszna. Może być zabójcza. Pierwsze dni w domu opieki są – w wielu przypadkach – nie mówię, że zawsze – czymś podobnym do pierwszych dni w więzieniu. To akurat powiedziałem trochę za mocno, ale chodzi mi o podkreślenie wagi tego zdarzenia. Wtedy właśnie obecność współuczestnika niedoli może znacznie złagodzić proces asymilacji. Tak to nam przedstawiono.

W związku z tym wszystkim, naszą mamę ulokowano z inną panią, która jednak była w jeszcze cięższym stanie, nieotwierając oczu, na kroplówce, spokojną jak aniołek, cichą i pogodzoną. Odeszła w paręnaście dni potem. Na jej miejsce przyszła inna, która też dość szybko umarła. Tak to, niestety, bywa.

Trzecią była dość młoda (zważywszy na wiek innych podopiecznych) siedemdziesięcioletnia osoba, która, jak się później okazało, była (za swoich zdrowych lat) wyższym oficerem milicji. W stopniu majora. Miała na imię Bożenka i była prawie zupełnie nieruchoma. Ogromnie wychudzona, prawie szkielet, niemogąca poruszać nogami – jednym słowem biedactwo.

Mówiono mi, że ten dramatyczny stan wziął się z informacji o obcięciu emerytur dawnym pracownikom organów ścigania. Mówiono, że pani Bożenka nie mogła przejść nad tym do dziennego porządku, przestała jeść, wpadła w jakąś anoreksję, depresję, wreszcie w niczym niewytłumaczony paraliż. Była – jak mówiono – niezdiagnozowana. Innym słowy, nie wiadano, o co chodzi. Pojawiły się ciemne odleżyny na stopach, sprawa była ciężka. Niemniej mówiła – dość często bez składu i ładu – ale mówiła i był z nią kontakt.

W czasie naszych codziennych wizyt moja Krysia zajmowała się mamą, a ja – siłą rzeczy – panią Bożenką. Nie ukrywam, że chciałem się od niej dowiedzieć czegoś o jej pracy, ale z oczywistych względów musiałem być tyle ostrożny, co delikatny. Pani Bożenka bowiem niechętnie mówiła o przeszłości. Z biegiem

czasu zadzierzgnęła się jednak między nami cieniutka nić przyjaźni i mogliśmy rozmawiać swobodniej. Z biegiem też czasu dowiedziałem się od jej synowej, że była szefową działu do walki z przestępczością gospodarczą, lubianą przez podwładnych, dobrym i uznanym funkcjonariuszem.

Siedzieliśmy więc we czwórkę. Moja Krysia z mamą, a ja z panią Bożenką. Gdy przychodził obiad czy podwieczorek, Krysia karmiła mamę, a ja panią Bożenkę. Opiekunki godziły się na to dość chętnie. Ostatecznie i tak miały pełne ręce roboty, bo wielu trzeba było karmić, a w niektórych przypadkach to karmienie zabierało sporo czasu.

Inna rzecz, że gdyby czterdzieści lat wcześniej ktoś mi powiedział, że będę karmił majora milicji, to myślę, że uznałbym go za wariata! Zadziwiające, jakimi to niezbadanymi meandrami wije się ludzkie życie i jego losy!

Obie nasze podopieczne lubiły słodkie rzeczy. Ptasie mleczko musiało być na podorędziu, a do tego codziennie ciastko. Raz wuzetka, innym razem eklerka albo napoleonka. I gdy wchodziliśmy do pokoju z zawiniątkami w ręku, pani Bożenka zawsze pytała:

– A co tam jest?

Na co ja odpowiadałem:

– To jest sekret pani Bożenko. Nie mogę powiedzieć.

– Ale ja bym tak chciała wiedzieć – prosiła jak dziecko.

– No dobrze, powiem pani. Tu mamy ciastko. Bardzo dobre, ale na poobiedzie.

– A czy ja mogę zobaczyć?

– Raczej nie, ale proszę mi wierzyć, że to jest znakomite ciastko. Dam pani po obiedzie.

- Ale ja bym chciała teraz... Tylko maleńki kawałek...
- No dobrze. To jest napoleonka. Dam pani troszkę, a resztę potem – jak pani zje obiad.
- A obiad będzie?
- Z całą pewnością.
- A co będzie?

Mniej więcej takie rozmowy prowadziliśmy codziennie. Prawie dosłownie. Pani Bożenka była jak dziecko, ale umiała być dowcipna. Lubiła też piosenki. Poddawałem więc jej czasem parę taktów, a potem mogliśmy już śpiewać razem.

- Na prawo most, na lewo most, a środkiem...
- Wisła płynie – śpiewała słabiutkim głosem.

Wszystko to cicho, bez naruszania spokoju innych, bo nigdy nie było wiadomo, jak inni zareagują.

Spotykaliśmy różnych ludzi. Tak różnych, że czasami włos jeżył się na głowie. Na korytarzu podchodziła do mnie, ubrana jak do wyjścia, starsza pani.

- Słyszał pan zapewne? – szeptała ze zgrozą.
- O czym łąaskawa pani?
- Mojego męża zamordowali tu w piwnicy! Profesor Sawicki... Musiał pan słyszeć! Toż cała Europa już o tym mówi!
- Tu, w tym domu?!?
- Ależ naturalnie! Tu w piwnicach zastrzelili go...
- To straszne! – zdumiewałem się nabożnie.

Starsza pani odchodziła, kręcąc głową, i po paru chwilach słyszałem, jak zagadywała kogoś innego:

– Słyszała pani o moim mężu?...

Żeby trochę ochłonać, szedłem do małej, ale bardzo dobrze wyposażonej biblioteki. Była akurat na tym samym piętrze. Czytałem „Zorany ugór” Szółochowa, gdy nagle wszedł wyprostowany mężczyzna – mniej więcej w moim wieku. Mieszkaniec domu.

– Pan tu pracuje? – zapytał.

– Nie, jestem gościem. Odwiedzam moją teściową.

– Aaa, rozumiem.

Zaczął przeglądać książki, ale widziałem, że ma ochotę na rozmowę. O coś mnie pytał, potem ja jego, aż wreszcie może trochę niedelikatnie spytałem:

– Przepraszam pana, z czystej ciekawości – czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki jest pana zawód? Czy się pan zajmował?

Wyprostował się jeszcze bardziej.

– Ja, proszę pana, przez 27 lat byłem oficerem dochodzeniowo-śledczym w Wojskowej Służbie Wewnętrznej – powiedział mocnym, zdecydowanym głosem.

Aż mnie zmroziło. Dochodzeniowo-śledczym! To dopiero! A teraz tu – dlaczego? Ale akurat tego pytania już nie zadawałem.

Jak się okazało, cierpiał na zaawansowanego Alzheimera. Miał przychodzące i odchodzące chwile braku świadomości. Akurat trafiłem na dobry moment.

Opiekunki znały swoich podopiecznych. Z całą pewnością ich praca wymagała powołania. I wiele razy o tym słyszałem. Te, które przychodziły tylko dla zarobku, nie wytrzymywały. Nie wytrzymywały napięcia, stresu, długich godzin pracy i odchodziły.

W pierwszym okresie naszych kontaktów z Domem widziałem, że

opiekunki (salowe) zajmowały się też sprzątaniami, ale trochę później kierownictwo postanowiło je odciążyć i do wszelkich prac porządkowych zatrudniło firmę specjalizującą się w sprzątaniu. To było dobre.

Wszędzie lśniło, a opiekunki mogły poświęcić cały swój czas pacjentom.

Wychodziliśmy z tych codziennych wizyt nie tyle przygnębieni, co pełni myśli o starości, niedołęstwie, pieluchach, niemożności nabrania łyżką zupy itd. Kotłowało się to w mojej głowie i skłaniało do głębokiego zastanowienia, które wracało też w kościele, w czasie niedzielnych nabożeństw.

Chodziliśmy do różnych kościołów. Na Starówce, na Pradze, w Śródmieściu... Przyjemnie było znów je odwiedzić. Kościół, gdzie kiedyś braliśmy ślub, już nie istniał, ale inne przywołały wspomnienia różnych, czasem prawie zapomnianych wydarzeń.

Komunia Święta podawana tylko do ust, a podniesienie rąk, żeby przyjąć na nie komunikant, spotykało się z niezrozumieniem, a nawet upomnieniem ze strony księdza.

„Przekażcie sobie znak pokoju” wywoływało oszczędne, jakby nieco wstydlive reakcje. Czasem była to wyciągnięta ręka, ale raczej bez uśmiechu, czasem kiwnięcie głową, bardzo rzadko odwrócenie się do tyłu, żeby podać rękę tym za plecami.

I raczej bez patrzenia w oczy. To mnie może najbardziej zastanowiło. Niepatrzenie sobie w oczy.

Koło jednego z kościołów w Wawrze, tuż za wspaniałym terenem okalającym kościół, była cukiernia. Fantastyczna! Wypieki, ciasta i ciasteczka, rogaliki, a do tego kawunia, parę stoliczków, czyściuteńkie, śliczne dziewczyny za ladą i niebiański zapach! Po nabożeństwie wszyscy walili do cukierni, żeby kupić coś do domu. Poszliśmy i my. Kolejka, ale miła, trochę ożywiona perspektywą niedzielnego obiadku, sympatyczny gwar. W pewnej chwili wszedł dość młody, zażywny ksiądz w

otoczeniu paru parafianek i prawie od drzwi wesoło i dość głośno powiedział:

„O, jaka kolejka! No, może uda się nam coś dostać bez czekania!”

I w tym momencie, jakoś zupełnie bez zastanowienia, ale z szerokim uśmiechem wpadłem mu w słowo:

„O nie, nie proszę księdza – wszyscy stoimy karnie i czekamy na swoją kolej!”

Powiedziałem to wesoło, tonem przyjacielskiej pogawędki, ale prawie zaraz spostrzegłem, że troszeczkę „przegiąłem”!

Niby nic się nie stało i ksiądz po uwadze, że śpieszy się do obowiązków, i że Msza Święta i coś tam jeszcze, stanął jednak w kolejce, ale poczułem jakby delikatny powiew chłodu wokół mnie i zrozumiałem, że nie jestem u siebie...

Przy wyjeździe z kościelnego parkingu słynne rondo i bardzo dobrze, bo gdyby nie ono, to wyjazd byłby chyba niemożliwy!

Kościóły są zadbane, ale ławki superniewygodne. Twarde, wysokie, wąskie... Męczarnia! Jakby ktoś się starał, żeby było niewygodnie, karząco, a nade wszystko surowo!

Siedziałem w nich w jakiejś nienaturalnej pozycji, z twardym oparciem boleśnie wbitym w kręgosłup i wspominałem inne kościoły – o ile wygodniejsze i powiedziałbym bardziej ludzkie. Na przykład ciepły, słoneczny kościół w Hilton Head Island w Południowej Karolinie, gdzie fantastycznie wygodne siedzenia wyściełane były miękkimi obiciami, a kościelną podłogę pokrywał kremowy dywan. Po skończonej mszy pełen humoru i serdeczności ksiądz zagnał wszystkich z szerokim uśmiechem. Tak mi się to jakoś przypomniało. W naszym Ontario też było (i jest) podobnie, tyle tylko, że pogoda inna, dywan na podłodze nie tak puszysty i na pewno nie kremowy, chociaż księżowski uśmiech może jeszcze weselszy niż ten z południa

Stanów.

Zdaję sobie sprawę z tego, że do kościoła nie idzie się dla wygód i dywanów, ale z drugiej strony, te drewniane ławki są takie twarde...

No cóż – co kraj to obyczaj... a Polska – szczególnie w tych kościelnych sprawach jest faktycznie bardzo barwna.

Przypomina mi się zeszłoroczny maj, kiedy to w jednym z warszawskich kościołów byłem świadkiem uroczystości pierwszej Komunii Świętej.

W cieniu przykościelnych lip widziałem czekających, którzy albo nie mogli się zmieścić wewnątrz, albo było im za duszno, albo może z wejściem do kościoła było im ździebko „nie po drodze”. Czekali spokojnie na zakończenie oficjalnych uroczystości, żeby przejść do tych mniej oficjalnych. Białe marynarki, ciemne okulary, piękne sukienki i eleganckie wdzianka. Wujkowie, piękne ciocie... Kapelusze, rękawiczki, wysokie szpilki... jednym słowem Hollywood!

Wewnątrz kościoła rodzice i dziadkowie – też w „Sunday best”, a może nawet „better than best!”. No i dziecko! Chłopcy jak chłopcy, ale dziewczynki – czyste księżniczki! Jedna w drugą!

Wokół równych szpalerów dzieci krzątające się zakonnice, zawsze gotowe do pomocy, ciche i szare. Z księdzem było trochę tak jak z sienkiewiczowskim Rzędzianem, który „twarz miał pucułowatą, czerwoną, a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował”, no ale może świnia jestem, bo przecież też ważę prawie dwieście funtów i brzuch mam jak bęben.

Tak mi się jakoś to wszystko przypomniało – może przy okazji zajścia w cukierni, czy w ogóle wyjścia z kościoła – trudno powiedzieć.

Te oderwane obrazy polskiej rzeczywistości składały się na obraz Polski taki, jak Ją widziałem.

Po południu, już po wizycie u mamy i u pani Bożenki, zostaliśmy zaproszeni do sąsiadów na tak zwaną herbatę. Nie widzieliśmy ich od wieków.

Bardzo ładny i wygodny dom, duży ogród, wszędzie ład i dostatek. W garażu parę „wypasionych fur” (z zaznaczeniem, że „w skórze i w automacie”), basen, ogromny taras i wielkie gąsiory wina domowej roboty. O tych „furach” napisałem może trochę złośliwie, ale w rzeczy samej tak było i gospodarz parę razy podkreślał, że „w skórze i w automacie...” itd.

To były dla mnie nowe i nieznane określenia, ale szczerze mówiąc, podobały mi się tak one, jak i samochody.

Otóż po niezliczonych przekąskach, zakąskach, szerokiej degustacji tego i owego był czas na kawkę, koniaczek, jakąś małą starą i naturalnie rozmowę.

Gospodarze dawno już na emeryturze, dzieci na swoim, spokój i cisza...

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, jak z upływem lat zmieniają się rozmowy mojego pokolenia.

Najpierw – gdy byliśmy bardzo młodzi – mówiło się o szkole, potem o studiach, potem było małe „porozmawiajmy o kobietach”, potem praca, kariera, śluby, narodziny dzieci. Jeszcze później pieniądze, podróże, domy, znowu pieniądze, a jeszcze później zaczęliśmy przerabiać choroby!

Piękna pani domu była chora na prawie wszystko, a pan domu to już szkoda gadać!

Moja Krysia usiadła w fotelu i zajęła się przeglądaniem albumów ze zdjęciami, a gospodyni bawiła mnie rozmową:

– Wyobraź sobie, jestem umówiona na rektoskopię – i ten lekarz – dureń jeden – bada mnie i mówi, że wyczuwa miękkie masy kałowe... Co za bzdura! Mówię mu, że przed przyjściem wypróżniłam się dwukrotnie, a ten cały czas swoje! Kompletny

debil! Chyba przyjdzie oszaleć!

Akurat dojadałem kawałek czekoladowego tortu, ale gdy usłyszałem o miękkich masach kałowych, jakoś dziwnie odeszła mi ochota – i to nie dlatego, że tort był niesmaczny...

– A ty Jurek – spytałem, żeby trochę zmienić temat – jak tam u ciebie? Na co jesteś chory?

– Chcesz, żebym zaczął od głowy, czy od nóg? – zapytał swobodnie.

– Niech będzie od głowy – zdecydowałem zrezygnowany.

No więc zaczął i było w tym opowiadaniu tyle jakichś strasznych przypadłości, o których nigdy nie słyszałem, tyle łacińskich nazw i medycznych określeń, że poczułem się jak student medycyny.

Kończąc, mój gospodarz powiedział tak:

– A do tego wszystkiego mam jeszcze raka prostaty, ale to już tak tylko na marginesie, cha, cha, cha!

Mimo to wcale nie wyglądali na tak schorowanych! Kto wie, może emerytalna pustka zwróciła ich przesadną uwagę na własną kondycję. Tak przecież bywa.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net